

WIELOGŁOS GDYŃSKI

Kronika zniknięć zielonych miejsc. Ostatnie historie dzikich plaż. Opowieści łąk, lasów i pojedynczych drzew.

Wysłuchała, spisała i opracowała Salcia Hałas

Tekst powstał w ramach projektu Moje zielone miejsce dofinansowanego ze środków Marszałka Województwa Pomorskiego.

Partnerem projektu jest Biblioteka Gdynia.

WSTĘP

Znikanie

Wielogłos gdyński to stworzona z głosów mieszkańców i mieszkank Gdyni opowieść o znikaniu miejsc, znikaniu drzew, znikaniu miejskich łąk i zakrzaczeń. Pochłania je miasto, przekształca działalność człowieka, za chwilę nikt nie będzie pamiętał, że istniały.

Wielu z nas nosi w sobie zielone miejsce, które zniknęło, tak mówi Kasper Jakubowski, architekt krajobrazu, edukator przyrodniczy, popularyzator miejskiej dzikości i lasów kieszonkowych.

Moje zielone miejsce jest zielone we mnie, w rzeczywistości pokrył je beton, ale wciąż o nim pamiętam.

Na leśnej górcze, zielonym miejscu mojego, dorosłego już dziecka wycięto sosny, dęby i topole i teraz wyrosły tam bloki. Mijałam je codziennie idąc na spacer z psem. Czułam niezgodę, żal i smutek, ale też myślałam o tym, że za kilka lat wszyscy zapomną, że kiedykolwiek rosły tam drzewa.

Te myśli i emocje współbrzmiały z historiami, które słyszałam od mieszkańców Gdyni podczas prowadzonych przeze mnie warsztatów i spacerów.

W opowieściach uczestników powracał motyw wycinania drzew i krzewów, znikania zielonych przestrzeni w mieście i żal za miejscami, z którymi związane były losy i wspomnienia.

Pomyślałam, że jedyne, co mogę zrobić, to poprzez głosy mieszkańców miasta oddać głos znikającej gdyńskiej przyrodzie.

Po to, żeby opłakać, po to, żeby pamiętać i po to, żeby dodać sił w walce o te przestrzenie, które jeszcze zostały.

W Wielogłosie pojawiają się gdyńskie miejsca centralne, jak Plac Unii i peryferyjne, takie jak Chyłońskie Łąki.

W niektórych opowieściach mieszkańcy wykraczają poza granice administracyjne miasta Gdynia, tak jest, między innymi, w przypadku wspomnianych łąk, ale mimo to zdecydowałam się je zamieścić, idąc za głosem pani Elżbiety, uczestniczki projektu:
„administracyjnie to jedna rzecz, ale uczuciowo, uczuciowo to już zupełnie inna sprawa.”

Pamięć

Opowieści zbierałam podczas cyklu spotkań w Bibliotece Gdynia, która jest partnerem projektu. Tam spotykaliśmy się oficjalnie. Uzupełnieniem spotkań w bibliotecznych były rozmowy indywidualne, podczas których słuchałam mieszkańców w przestrzeniach dzielnic, podczas spacerów, po to, aby pobudzić wspomnienia i stworzyć mapę pamięci.

Pamięć ludzka to byt ulotny.

Podczas pierwszego z wielu spotkań zgromadziliśmy się w dziesięć osób. Wszyscy byliśmy mieszkańcami Gdyni.

Nikt z nas nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zniknęły duże drzewa posadzone przy centralnej ulicy Świętojańskiej. Nie potrafiliśmy przypomnieć sobie gatunku, nie potrafiliśmy się zgodzić nawet co do wysokości.

Z pomocą przyszedł internet, stąd wiemy, że rosły tam klony, które zostały wycięte podczas remontu ulicy w 2005 roku.

To nasza pamięć. A pamięć miejsc, pamięć drzew?

Jeszcze do niedawna byliśmy przekonani, że drzewa żyją, fotosyntetyzują i nie mają pojęcia, co dzieje się wokół. Dziś już nawet przedszkolaki wiedzą, że drzewa potrafią się ze sobą porozumiewać i są obdarzone zmysłami, które zapewniają im kontakt ze światem.

Wiemy, że w niedostępny dla nas, roślinny sposób rozróżniają barwy światła, ba, widzą nawet światło odległych gwiazd i potrafią wykorzystywać je do swojego wzrostu.

Wiemy też, że oprócz warstw korka i warstw ligniny w pniach drzew odkłada się pamięć o latach suchych i mokrych. Drzewa potrafią "pamiętać" wydarzenia z przeszłości, takie jak okresy suszy, czy ataki szkodników i dostosowywać swoje działania do tych wspomnień.

Perspektywa

Ciekawe, co jeszcze potrafią zapamiętać drzewa. Czy oprócz informacji o suszach zapisują w sobie wspomnienia o prac budowlanych, które uszkodziły glebę wokół korzeni? Czy pamiętają o drzewach, które rosły obok nich, a zostały wycięte?

Jako edukatorka przyrodnicza i pracująca zawodowo ogrodniczka wiem, że należy być ostrożną snując tego rodzaju przypuszczenia. Biologia jest nauką opartą na doświadczeniu i nie ma w niej miejsca na puszczanie wodzy fantazji.

Z drugiej strony, to właśnie rozważania z pogranicza metafizyki i poezji pomogły mi w stworzeniu tego tekstu.

Spisywałam historie i długo myślałam, jak uporządkować zebrany materiał.

Wtedy przyszło mi na myśl, żeby zmienić perspektywę i w opowieściach oddać głos miejscom, drzewom i ptakom.

Ten gest ma oczywiście wymiar wyłącznie symboliczny, jako człowiek nie jestem w stanie objąć doświadczenia istot pozaludzkich, ale symboliczne było również to, że od kiedy zdecydowałam się na ten zbieg, opowieść zaczęła płynąć.

Dostępność i wersje

W związku z tym, że ilość zgromadzonego materiału wykroczyła poza projektowaną liczbę stron, zdecydowałam się stworzyć dwie wersje, krótszą, dostępną w formie audio, oraz dłuższą, dostępną w formie zapisu. Obie wersje są dostępne na stronie Biblioteki Gdynia.

Wielogłos powstał na podstawie wypowiedzi mieszkańców, jednak nie jest to transkrypcja, świadectwa są przycięte i zmontowane tak, by tworzyły jeden, spójny tekst o znikających z miasta zielonych miejscach.

Udział w projekcie był anonimowy, uczestnicy występują pod imionami, bez nazwisk, dla podkreślenia, że ich opowieści są również głosami nieidentyfikowalnych.

Nie znamy z nazwiska drzew. Dlatego pięć Katarzyn, tak jak pięć brzoź.

W nagraniu wersji audio wzięły udział osoby, które uczestniczyły w fazie zbierania opowieści, nie oznacza to jednak, że czytają one tylko swoje kwestie. Tak, jak wspomniałam powyżej, zależało mi na tym, żeby głosy mieszkańców były głosem miejsc, dlatego opowieści tworzą swoisty wielogłos, stąd tytuł.

Drzewo światów

Podczas spotkań mieszkańcy dzielili się opowieściami o stratach, jakich doświadczyli, ale też zastanawiali się nad tym, jakie powinno być przyjazne miasto. Z większości głosów wynikało, że takie, w którym w bezpośrednim, BLISKIM sąsiedztwie rosną drzewa.

„–Starsze osoby, które mieszkają w miejscach, przy ulicach, przy których jest gorąco, nie dojdą do lasu, nie dojdą do parku. Takie osoby chciałyby, kiedy jest upał, wyjść z domu, usiąść na ławeczce tam, gdzie jest trochę cienia.”–mówiła pani Katarzyna.

Potrzebujemy drzew jako dawców cienia i istot, które były z nami od zawsze.

Drzewo jest wpisane w nas w sensie dosłownym –jako wzór siatki neuronów i jako archetyp. Mit, w którym drzewo jest osią światów, jego korzenie sięgają świata podziemnego, a korona sfer niebieski to jeden z tych tajemniczych mitów, które, w różnych wersjach powtarzają się na całym świecie, to nomen omen korzenie, które są wspólne całej ludzkości.

W świecie rzeczywistym drzewa zapewniają nam cień, obniżają temperaturę i wychwytyują zanieczyszczenia. I tu, co ciekawe, najlepiej sprawdzają się te, które osoby odpowiedzialne za los drzew w mieście darzą najmniejszym szacunkiem– topole.

Miejskie drzewa do zadań specjalnych

Większość topoli to gatunki krótkowieczne, ich drewno łatwo ulega uszkodzeniom, a próchniejąc, stwarza ryzyko łamania się konarów podczas wichury. Z kolei nasiona–topolowy

puch to czynnik uczulający alergików. Drzewa tego gatunku dodatkowo obciąża fakt, że były sadzone za PRL-u. Jan Mencwel, autor książki *Betonoza. Jak niszczy się polskie miasta* nazywa je „źle urodzonymi”. Miasta bez żalu pozbywają się topoli.

Tymczasem one, dzięki grubym, skórzastym liściom są nie tylko mistrzyniami w wychwytywaniu wszelkiego rodzaju pyłów, ale też, poprzez chłonne korzenie są zdolne do absorpcji nadmiaru wody z gruntu. Z tego powodu są używane do osuszania terenów podmokłych—szpaler topoli na skwerze Plymouth został posadzony właśnie po to, by osuszyć fundamenty kamienicy przy ulicy Świętojańskiej, budynku, którego mieszkańcy zmagali się z podchodzącą pod ich nieruchomość wodą.

To, co jest mankamentem dla ludzi, czyli podatność na uszkodzenia, jest atrakcyjne dla skrzydlatych mieszkańców miasta, bo w drzewach tego gatunku łatwo tworzą się dziuple. Ptaki, w przeciwieństwie do nas doceniają topole, zarówno tzw.dziuplaki (ptaki żyjące w dziuplach), jak i te, które śpią na gałęziach. Być może to właśnie ze względu na swoich mieszkańców topole często pojawiały się jako bohaterki opowieści.

Nieludscy mieszkańcy miasta

Osoby, które wzięły udział w projekcie dostrzegają i cenią obecność ptaków w sąsiedztwie.

I słusznie, bo śpiew ptaków uspokaja skołatanę wyzwaniami współczesnego świata nerwy i to wcale nie dlatego, że jest piękny, choć, oczywiście, jest. Wytlumaczenie tego fenomenu odnosi się do naszej ewolucyjnej historii— jako łowcy zbieracze wypatrujący zagrożeń obserwowaliśmy też inne gatunki. Śpiew ptaków oznaczał, że nie skrada się w naszym kierunku żaden tygrys i możemy czuć się bezpiecznie.

Ptaki, tak, jak my prowadzą dzienny tryb życia, ażeby je obserwować , nie trzeba nawet wychodzić domu, wystarczy wyjrzeć przez okno.

W kontekście wyciętych topoli obserwacji towarzyszyła powtarzającą się opowieść o bezradności, jakiej doświadczali ludzie na widok ptaków, które orientowały się, że ich dotychczasowe miejsce do życia, czyli drzewo, przestało istnieć.

Myśl o innych, nieludzkich mieszkańcach miasta i ich prawie do życia i swobodnego przemieszczania, a także takie uczucia jak złość i oburzenie pojawiły się też przy okazji opowieści o budowie obwodnicy Witomina.

Wrażenie robił ogrom spustoszeń wśród drzew, ale pojawiała się również refleksja dotycząca korytarzy, jakimi przemieszczają się zwierzęta. Zasmucał brak myślenia o mieście jako całości.

Tymczasem przyrodnicy ekolodzy są zgodni—przyszłość dzikiej przyrody rozstrzygnie się w miastach.

W miastach mieszka już ponad połowa ludności świata i ta liczba będzie rosła.

Do miast przenoszą się nie tylko ludzie. Postąpiła tak cała ptasia inteligencja—wrony, gawrony, sroki, coraz częściej widywane są też sójki. To samo dotyczy ssaków. Dzikie, lisy, borsukii kuny mieszkają obok nas.

Uczucia i potrzeby

Jak pogodzić ludzkie potrzeby z potrzebami nieludzkich mieszkańców miasta?

Jak pogodzić potrzebę budowy mieszkań dla coraz większej liczby ludzi z potrzebą kontaktu z zielenią tuż obok?—pytali siebie nawzajem mieszkańcy na spotkaniach.

W głosach pojawiał się żal smutek i zwątpienie, ale też pojęcie dziejowej konieczności — miasta muszą się przecież rozwijać, ludzie potrzebują gdzieś mieszkać, a to zawsze dzieje się jakimś kosztem.

Opowiadający wyraźnie rozgraniczali swoje uczucia związane z zielonym miejscem—smutek, nostalgię, ze zrozumieniem konieczności wznoszenia nowych budynków na działkach w centrum miasta. Wielokrotnie padały słowa o konieczności zagęszczania zabudowy.

To, co często budziło złość i gniew, to sposób wykonywania inwestycji. Jako przykład można podać tu sposób zabudowania Placu Unii— część mieszkańców tęskniła za zielonym skwerkiem, inni podkreślali, że skwerek nie był miejscem bezpiecznym. Natomiast wszyscy byli zgodni, że to, co powstało, czyli betonowa pustynia z drzewami w donicach, rozgrzewająca się podczas upałów do ekstremalnych wartości nie jest przyjaznym sposobem gospodarowania przestrzenią.

Uczestnicy spotkań podkreślali, że takie realizacje powodują realne życiowe utrudnienia dla dużej części mieszkańców, w tym rodziców z małymi dziećmi i seniorów, szczególnie podczas upalnego lata, kiedy to każde zielone, cieniste miejsce w sąsiedztwie jest na wagę złota

Jan Mencwel, autor *Betonozy*, w jednym z podcastów mówi, że napisanie książki o wycinkach i betonowaniu miast nie zmieniło jego perspektywy, tak jak to, że został ojcem dwójki dzieci i stanął przed wyzwaniem dotarcia do parku z dwoma wózkami.

W głosach mieszkańców jako postulat wybrzmiewała też idea „8–80” autorstwa urbanisty Gila Penalosa. Penalosa w swojej koncepcji podkreślał, że zarówno ośmioletki, jak i osiemdziesięcioletki potrzebują zielonego miejsca, do którego nie musi dojeżdżać, bo przecież z dojazdem może mieć trudność z racji wieku, znajdującego się tuż obok domu.

Zieleń w najbliższej okolicy to szereg oczywistych dobrodziejstw, takich jak wielokrotnie wspomniany przez mieszkańców cień, czy poprawa samopoczucia psychicznego, ale też tych mniej oczywistych—dostępność zieleni łączy się z bezpieczeństwem. Autor książki *Miasto szczęśliwe*, urbanista Charles Montgomery przytacza zaskakujące badania z Chicago— w blokach z widokiem na zielenie spada przestępczość.

Mikrokatastrofy

Również w Gdyni wzrasta świadomość korzyści, jakie daje nam zieleń dostępna na wyciągnięcie ręki. Coraz częściej w budżetach obywatelskich pojawiają się projekty zazieleniania miasta i tworzenia parków kieszonkowych.

W ślad za nimi następują działania, które, paradoksalnie, prowadzą do zniszczenia zielonych miejsc.

Powracającym tematem spotkań były rewitalizacje i budowa parków kieszonkowych, często powstających z inicjatywy Rad Dzielnic, lub w ramach budżetów obywatelskich.

„–Doszło do tego, że boję się oddać głos w budżecie obywatelskim na taki projekt, bo z jednej strony oznacza to, że jakiś teren będzie bardziej zielony, ale to się zawsze odbywa kosztem czegoś. W kontekście Redłowa, które jest mi bliskie, mam taką historię – przy cmentarzu zrewitalizowano sąsiadujący z nim park. Postawiono ławkę, na której prawie nikt nie siada, a żeby to zrobić, wycięto dwa drzewa.” – mówi pan Janusz.

Wiele inwestycji w założeniu ma zwiększyć ilość dostępnej zieleni. W praktyce często, aby stworzyć zielony zakątek z ławeczką, tak, jak w przytoczonym przykładzie wycina się istniejące drzewa.

Chęci są dobre, ale działania prowadzą do mikrokatastrof. Powstają miejsca, w których ani ludzie, ani nieludzie nie czują się dobrze – słyszeć miasto, nie słyszeć ptaków, ani owadów. Jest gorąco, bo powierzchnię biologicznie czynną zastąpiono brukiem, a gęste, wysokie krzewy wycięto, w ich miejsce sadząc niską roślinność ozdobną.

Nowa zieleń ma być w założeniu estetyczna, odporna, łatwa w pielęgnacji, nie za wysoka, a dodatkowo ozdobna przez cały rok.

Tymczasem ćwierkające ptaki wróblowate potrzebują gęstych zarośli, najlepiej o wysokości większej niż półtora metra. Dlatego w nowych założeniach panuje cisza.

Dzikie kontra ucywilizowane

Kolejnym zagadnieniem, jakie pojawiło się podczas spotkań było wycinanie roślinności dzikiej, samorzutnej, oraz, w szerszym sensie, pozbywanie się dzikości z miasta.

Profesor Maciej Luniak, polski zoolog i ekolog twierdzi, że wynika to z naszego nieprzerobionego dziedzictwa.

„...Najstarsze tereny zieleni – parki zakładano przy miejskich rezydencjach klasy wyższej, więc były niejako rozszerzeniem powierzchni mieszkalnej, tam odbywały się rozmaite wydarzenia towarzyskie. W takim miejscunie mogły rosnąć chwasty. Z drugiej strony – większość mieszkańców Polski ma korzenie chłopskie. Na wsi jeszcze do niedawna przyroda – las czy bagno była żywiołem, któremu z móżdżkiem trzeba było wyrzywać tereny pod uprawę.” (cytat za „Betonoza”, Mencwel)

Przyroda, której się nie przycinało, nie utrzymywało w ryzach szybko wkraczała do obejścia, co wiem również z własnego doświadczenia. Pochodzę z małego miasta położonego na porośniętym chaszczami Podkarpaciu. Las, poprzedzany przez zarośla kroczył tam szybko i zdecydowanie. To, co wycięte i wykoszone stało się symbolem dbałości i nowoczesności.

Dziś, w większości miast, w tym w Gdyni, mamy już inną sytuację.

Zmiany klimatu oznaczają powtarzające się okresy suszy, co powoduje, że nowe, ozdobne założenia schną, drzewa zamierają, wobec czego wycinanie samosiejek i zastępowanie ich roślinami zaplanowanymi przez człowieka wydaje się działaniem pozbawionym sensu.

Wojciech Januszczyk, architekt krajobrazu, oraz pomysłodawca festiwalu *In Garden* mówi, że samosiejki to najbardziej wartościowe rośliny, bo dostosowane do warunków – dały radę wykiełkować, zakorzenieć się i rosnąć. Zgadza się z nim wspomniany Kasper Jakubowski.

Jako ogrodniczka z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem i obserwatorka przyrody patrzę ze zdumieniem na działania miasta i inwestorów prywatnych.

Na grabówkowej górze, zielonym miejscu mojego dziecka, o którym wspominałam na początku, wycięto topole, dęby i sosny. W miejsce wyciętych drzew inwestor posadził dziesięć dębów odmiany ozdobnej, kupionych w szkółce.

Po roku z dziesięciu zostały cztery żywe drzewa.

W lecie tego roku na skutek suszy pożółkły i wyschły wszystkie karłowate brzozy posadzone w donicach na ulicy Śląskiej.

Usychające miejskie drzewa dostrzegali również uczestnicy projektu i zadawali pytania – czy utraciliśmy, na skutek życia w oderwaniu od natury prostą umiejętność patrzenia wprost w rzeczy same i wyciągania wniosków?

Jan Mencwel we wspomnianej książce pisze: *„Dorosłe pokolenie, które, wożone wszędzie samochodami wyrosło bez kontaktu z naturą. W miastach żyją ludzie, którzy nie doświadczają na co dzień kontaktu z dziką przyrodą, nie doświadczyli smaku jabłek z drzewa, ani budowania baz w krzakach, a w dorosłości ich codzienne drogi wiodą z podziemnego garażu do samochodu, a stamtąd do podziemnego garażu w pracy. Żyjąc w ten sposóbnie odczuwają ani deszczu, ani słońca, ani zmieniających się pór roku, a kiedy znajdują się wśród drzew, nie są w stanie nazwać ani gatunków, ani powiązać ich z kontekstem kulturowymani wpisać w uwewnętrzniony obraz świata.*

Idą za tym daleko idące konsekwencje. Nie da się chronić czegoś, czego nie znamy.”

Nie czując więzi nie da się poczuć żalu za ginącą naturą .

Jaka na to rada?Powrót do korzeni, krzewienie zielonego patriotyzmu. Edukacja i praca u podstaw. Nie mam innego pomysłu niż wsłuchanie się w głos twórczyni dawno zapomnianego zielnika, zapalanej przyrodniczki amatorki i autorki sławnych opisów przyrody z „Nad Niemnem”.

Tylko czy zdążymy? Czas się kurczy, zmiany postępują powoli, a wycinanie drzew i krzewów, utrata zielonych miejsc wciąż trwa.

Moi rozmówcy zwracali uwagę nie tylko na znikanie zieleni pod betonem, ale też na przemiany, jakim ulega otaczający Gdynię zielony ekosystem, jaki jest las.

Na skutek wciąż prowadzonych prac leśnych ubywa drzew, zanika runo, takie jak mchy, poziomki, czy konwalie, ubywa grzybów, a gleba wysycha.

Dzika natura, do której tęsknią mieszkańcy, to nie tylko zieleń, ale i woda. Podczas jednego ze spotkań starsi mieszkańcy wspominali rozlewisko rzeczki Chylonki u stóp Świętej Góry. Strumień swego czasu był tam tak głęboki, że dzieci mogły się w nim kąpać. Dziś sięga ledwie do kostek. Znikają łąki podmokłe, zmiennowilgotne i dzielnicowe stawki.

To, jak zanika woda i obszary podmokłe można sobie prześledzić na gdyńskich retromapach ale też zobaczyć na własne oczy.

Doświadczyłam tego tej wiosny, w momencie rozpoczęcia projektu Moje zielone miejsce.

W poszukiwaniu nadziei

Nie myślałam, że wezmę w nim udział jako osoba, która opowiada. Nie taki był plan. Miałam być bezstronną obserwatorką, tą, która opowiada cudze historie. Ale jestem też mieszkanką Gdyni i chcę opowiedzieć historię podmokłych łąk, z którymi czuję więź, odkąd wydeptuję gdyńskie ścieżki najpierw z jednym psem, potem z następnym.

Bo kiedy weszłam wiosną na Chyłońskie Łąki poczułam to coś w brzuchu. Zacisk. Jakby kamień.

To uczucie przeniosło mnie do dzieciństwa i tego momentu, kiedy zobaczyłam moje zielone miejsce, wielką łąkę ze stawem pośrodku i pochyłą wierzbą, na której my, dzieci, przeżywałyśmy niezwykle przygody. Wierzbę wycięto, staw osuszono, w ziemi ziały wykopy.

I też była wiosna. I wszystko zieleniało i kwitło, i śpiewały ptaki. Wszystko budziło się do życia po to tylko, by zniknąć.

W tym roku na Chyłońskich Łąkach pokrzywy wychyliły świeże strzępiaste listki, kwitła ałyczka, wiatr sypał białym kwiatem, a gdzieś daleko, tam, gdzie wysychające latem rozlewisko, krzyczały żurawie. Po niebie goniły się kruki. Nad łąką śpiewał skowronek. Zieloną darń przeorały wykopy, a wokół leżały gigantyczne rury. Wtedy wróciło to, co udało mi się wyprzeć pięć lat temu, słowa kolegi, którego spotkałam na sąsiadującej z łąkami ulicy Złotej: – *Idziesz na spacer? – zapytał – Na łąki? To idź i ciesz się tym, póki możesz, bo już niedługo, za pięć lat będzie tu wielka strefa przemysłowa. To wszystko zniknie, będzie zabudowane.*

Ten moment był jak uderzenie. Aż się cofnęłam i tak, jak ktoś, kto słyszy wiadomość o ciężkiej, nieuleczalnej chorobie bliskiego w pierwszym momencie nie chciałam uwierzyć. A

potem wypchnęłam, wyparłam, zapomniałam aż do tej wiosny, kiedy pojawiły się wielkie rury. Te rury to gazociąg, ale to dopiero początek. W miejsce Łąk Chyłońskich(administracyjnie należących do Kosakowa, ale bliskich Gdyni) powstanie dolina logistyczna, w tym parking dla tysiąca tirów.

To utrudnia mi zakończenie tego wstępu.

Planowałam zakończyć słowami, które dają nadzieję, bo „to coś z piórami”, (określenie Emily Dickinson), jest nam niezbędne do przeżycia.

Patrzyłam na to, co napisałam, przewijałam. Długo szukałam słów i nie znalazłam ich w sobie. Spróbowałam przejrzeć się w cudzych słowach.

Jedna z mieszkanek biorących udział w projekcie przytoczyła wypowiedź gości z dalekiej, pachnącej żywicą Kanady. Przybysze zachwycali się Gdynią i tym, jaka jest zielona.

Myślałam o tych słowach i starałam się spojrzeć w ten sposób na moje miasto, ale nie potrafiłam. Widziałam tylko straty.

Nadzieję znalazłam dopiero, kiedy wstałam od komputera, przestałam myśleć i zapatrzyłam się na moją sąsiadkę lipę. Na tę, która uspokaja swoim zapachem, brzęczeniem pszczoł i widokiem zielonych liści.

Wiało, a we wietrze i w promieniu słońca, który przedarł się przez chmury leciał wszelki fruwiący drobiazg. Muchy, meszki pluskwiaki, chrząszcze, motyle, pszczoły, komarzyce. Płynął strumień życia, trwał niekończący się spektakl.

Sroka nic sobie nie robiąc z podmuchów wiatru bujała się na najwyższej gałęzi. Nie trwało to długo, jak to sroka nie usiadła spokojnie w jednym miejscu. Sfrunęła na dach bloku naprzeciwko, zajrzała do komina, potem do dziury, w której mieszkają wróble, po czym zawadiackim krokiem przedelfowała po rynnie. Ten widok wrócił mi wiarę, nadzieję i sens.

To samo radzę szanownym Czytelnikom tego tekstu. Przeczytajcie, bo pamięć jest ważna, ale potem idźcie po nadzieję do drzew. Brońcie ich przed wycinką tak, jak mieszkańcy Oksywia bronią swojego lasu .

A w wolnych chwilach patrzcie , jak wiatr porusza gałęziami drzew. Patrzenie na żywe i zielone i to tylko 20 minut obniża kortyzol, hormon stresu o 20 procent.

Obserwujcie przyrodę, a w najczarniejszej godzinie zwróćcie się do srok.

Sroki toniezawodne nauczycielki sensu.

Wielogłos gdyński

Kronika zniknięć zielonych miejsc. Ostatnie historie dzikich plaż. Opowieści łąk, lasów i pojedynczych drzew.

Mówią: pięć Katarzyn, dwie Barbary, dwie Elżbiety, dwie Anny, Magdalena, Laura, Salcia, Marek, Urszula, Agnieszka, Jadwiga, Dominika, Tomasz, Ida, Justyna, Paula, Gabriela

Opowieści bezimiennego dzikiego klifu położonego między Babimi Dołami a Mechelinkami. Klisze pamięci. Mówi Anna.

Anna: Będąc młodą dziewczyną miałam chłopaka, z którym uprawialiśmy taką, można powiedzieć, turystykę miejską. Chodziliśmy na randki po dwadzieścia kilometrów dziennie, po dzielnicach, między dzielnicami, lasem i łąkami.

I pamiętam takie doświadczenie wychodzenia na czyjeś pole prawie, że za blokiem.

Właściwie całe Obłuże, Babie Doły tak wyglądały.

Wystarczyło przejść dwadzieścia, a czasem i dziesięć metrów od bloku i od razu trafiało się w zupełnie inny, wiejski krajobraz z mnóstwem ptaków, owadów, świerszczy, z całą tą owadzią, ptasią, orkiestrą, która szeleściła, cykała, śpiewała.

Pamiętam, że kiedyś szliśmy piechotą do dzisiejszych Mechelinek, albo którejs z miejscowości między Kosakowem a Mechelinkami i doszliśmy na dziki klif.

Rosła tam typowa, bałtycka roślinność, a w morzu pływały jakieś dzikie gryzonie, chyba nutrie, te gryzonie miały tam swoje nory i po prostu wychodziły, żeby się poplukać.

Pamiętam ten moment, miałam dwadzieścia lat i już wtedy wiedziałam, że takie miejsce to relik. Dlatego specjalnie więcej tam nie poszłam wiedząc, że wszystko, co zobaczę, może mnie jedynie zranić.

I dlatego zostawiłam sobie takie klisze pamięci.

Moje zielone miejsce, zniknęło.

Opowieści dzikich plaż położonych gdzieś pomiędzy Oksywiem a Mechelinkami

O znikaniu dzikości. Mówią Anna, Katarzyna i Urszula.

Anna: Tam, gdzie mieszkała ta nutria doszliśmy jeszcze kiedyś od strony Babich Dołów.

To jeszcze wtedy była całkowicie dzika plaża, nawet można powiedzieć, nieprzyjazna, bo bardzo wąska. Taka wersja przejścia między Gdynią a Sopotem, tylko więcej krzewów, więcej pni drzew powalonych.

Trzeba się było cały czas gdzieś wdrapywać i mieć jakąś sprawność fizyczną, żeby tę trasę odbyć, ale też było to coś takiego, czego można było doświadczać, a potem pamiętać.

Coś, czego dzisiaj już właśnie bałabym się, ale to właśnie jest o znikaniu z życia dzikości.

Katarzyna: Mnie frustruje wybetonowanie bulwaru na Oksywiu i to, że tam, z tej dzikości się to wszystko zmieniło w takie bardzo uregulowane, ucywilizowane miejsce.

Urszula: Próbuję myśleć, że czymś innym są jakieś konieczności utwardzania powierzchni, zasady postępowanie z wybrzeżem, przepisy Urzędu Morskiego, a czymś innym moje uczucia, no ale żalu to nie zmienia, żal pozostaje.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść dzikiego terenu przy Riwierze. Ten widok oznaczał dom. Mówią Tomasz i Dominika.

Tomasz: To miejsce, wydaje mi się trochę pełniło funkcję parku kieszeniowego, kieszeniowego, nie kieszonkowego, bo było to większe miejsce. Był to taki dziki wycinek miasta, na którym można było spotkać różne rośliny i zwierzęta, bo na środku były dwa, o ile dobrze pamiętam legowiska dzików, były też różne nory i norki, a w krzewach żyły ptaki. Można powiedzieć, że były tam trzy poziomy, równina, gdzie krzaczki i trawa, dalej krzewy, żarnowce i mirabelki, a na końcu las.

To miejsce było stąd, z miasta, a jednocześnie nie stąd. Przechodząc przez ten teren można było głębiej odetchnąć i mieć takie uczucie, że nie jest się w mieście, tylko przedziera się przez dzicz.

Zwykle szło się przez tę dzicz po to, żeby wejść do innego rodzaju dzicy, w Riwierze, taki kontrast – przechodzimy przez dzicz naturalną, po to, żeby później wejść w inną dzicz – handlową. Plusem tego miejsca było też to, że nie było zdewastowane przez jakieś nocne imprezy, ogniska, śmieci pomimo, że było się tu gdzie schować. Coś uratowało to miejsce od zniszczenia... Do czasu wjazdu koparek.

Ja jestem z małej wioski, tam było osiem rodzin, ale kiedyś było tych rodzin więcej, a co za tym idzie, dużo miejsc, gdzie kiedyś stał dom, a później podwórko porastało roślinami, były to jakieś krzaczki, mirabelki. Wyglądało to tak, że niby teren odkryty, a jednak zarośnięty dziko, przypominało mi to takie opuszczone podwórko z rodzinnej wsi, które natura wzięła z powrotem.

Niektórzy mówią, że rosły tu tylko nawłocie, ale to nieprawda, gatunków było więcej, rosły tu na przykład skupiska żywokostu, którego w Gdyni jest bardzo mało.

Uważam, że każde zielone miejsce w mieście jest cenne, ale jeżeli już wiedzie koparka, to tę wartość traci bezpowrotnie.

Dominika: Żal mi tego miejsca. Mam do niego sentyment, bo pamiętam, że jak byłam mała, jak wracałam pociągiem od babci, to moment, kiedy pociąg wjeżdżał do Gdyni, i kiedy pojawiał się ten widok, znaczył, że jestem w domu. I jak już byłam starsza i skądś wracałam, to też miałam to samo odczucie, że ten widok oznaczał dom.

A teraz to miejsce zostanie zabudowane i widok zniknie. Żal.

Tomasz: Czuję smutek, ale też myślę, że jak już zabudują to miejsce, jak już wybudują te wieżowce, to za ileś lat, może, któryś z mieszkańców powie: jest tutaj pięćdziesiąt stopni, sam beton, przydałby się skrawek terenu zielonego. A tego skrawka już nie będzie.

Bo my, jak tracimy, to często nie zdajemy sobie sprawy z tego, co tracimy, tylko za jakiś czas dopiero myślimy, że przydałoby się to co stracone. I to jest taka myśl nie tylko dla tego miejsca, ale i dla całej Gdyni.

Opowieść parczku z 10 Lutego. Niewielki, ale zielone było. Mówi Jadwiga.

Jadwiga: A w centrum, tam, gdzie teraz stoi ten dom handlowy, Kwiatkowski, przecież tam był parczek, jeździłam tam z dziećmi. Niewielki, ale też zielone było, jakieś drzewa, nieduże, ale mimo wszystko. Ćwierkało tam. No i pośród tego Kwiatkowski, przecież założyciel Gdyni. Myślę sobie, no nie, przecież Kwiatkowskiego nie ruszą, i ten skwer zostanie na zawsze. Ale ruszyli, zbudowali, parczek wycięli, a Kwiatkowskiego przesunęli i postavili przed budynkiem i teraz stoi tam ten biedak przy ulicy, jak jakiś żebrak. Szkoda. Smutek. Żal.

Moje zielone miejsce zniknęło

Opowieść krzewu forsycji z ulicy Władysława czwartego. Takie małe zniknięcie.

Mówią Elżbieta i Katarzyna.

Elżbieta: To mała rzecz, ale dla mnie ważna, takie małe zniknięcie. Kiedyś chodziliśmy z Michałem, moim chłopakiem do Biblioteki Śródmieście, tej na Starowiejskiej, to znaczy ja chodziłam, ale szliśmy razem na Starowiejską i ja szłam z książkami do biblioteki, a Michał szedł wzdłuż biblioteki, to znaczy szedł się przejść, tam jest taki sklep ezoteryczny, zioła w tym sklepie są i jakieś kryształki, a dalej był taki jeden duży krzak, to jest chyba przedłużenie Władysława IV, ta ulica. No w każdym razie w tym krzaku, a jeden był, siedziały wróble, mnóstwo wróbli, jaki tam był wróble świergot! Jak one się tam darły! No i on tam zawsze tam chodził, na te wróble. A teraz zrobili tam park kieszonkowy. Park taki, że dwie ławeczki i alejka i piach i piach. I wycięli ten krzak. I nie ma już wróbli.

I jest tam cisza. I tak sobie myślę, o tych wróblach, gdzie one są teraz.

Katarzyna: Pamiętam to miejsce, ten krzak, to była forsycja, ona tak pięknie kwitła na wiosnę. Dużo było takich krzewów na osiedlach. A teraz powstają parki kieszonkowe. I one są takie bardziej uporządkowane. Kiedyś, w tych krzewach więcej życia było.

A teraz nie ma.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść Piaskuli na Grabówku. To już się stało. Mówią Salcia i Katarzyna.

Katarzyna: Chciałabym opowiedzieć o miejscu pod lasem, takiej polance, szło się tam Wąsowicza do góry, za Kwaśniakiem, tą słynną lodziarnią, w stronę lasu aż do końca drogi.

To była taka piaskowa polana, stały tam jakieś dwa garaże i nic poza tym, właściwie już zaczynał się las. Tam teraz wszedł deweloper i buduje bloki.

Mieszkańcy protestowali, bo to był dla nich taki skrócik przez las, ale nic to nie dało.

Ja tam często chodziłam na spacer z psem, ale ostatnio poszłam pokazać to jednej naszej radnej, takiej, która ma zielone serce, ale co? To się już stało, ta budowa już tam jest.

Byłyśmy w taki fajny ciepły wieczór i latały tam takie malutkie nietoperze. I to jest dla mnie właśnie to zielone miejsce, które zniknęło, którego mi żal.

Bo jak postawili te bloki to sobie myślę, co z tymi nietoperzami będzie teraz, jak im zabrali te drzewa. Jak one sobie poradzą. Czy sobie poradzą, czy się uchowają.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Salcia: To było też moje zielone miejsce, moje i mojego dziecka. Tam przychodziłam latem posiedzieć, odpocząć, i po tych drzewach, jak rosły, widziałam też upływ czasu, bo ja tam siadałam na górcie, żeby popatrzeć na stocznnię i na chmury nad stocznnią. Aż tu, któregoś lata siadam i patrzę i nie ma widoku na stocznnię, bo drzewa go zarosły.

A teraz te drzewa ścięli.

A zimą zjeżdżaliśmy na sankach, czy na jabłuszku. Zimą to było takie miejsce do zjeżdżania dla wszystkich dzieci z okolicy, jak tylko spadł śnieg, rodzice z dziećmi ciągnęli tam z sankami.

W lesie, wśród tych, co chodzą z psami słyszałam pogłoski, że będą budować, ale i tak, kiedy postawili ogrodzenie na ścieżce do lasu, mojej codziennej ścieżce z psem, to przeżyłam szok.

A zaraz po tym, jak postawili ogrodzenie, zaczęli ciąć.

Żeby zbudować bloki wycięli wielkie topole, wycięli też dęby i sosny.

Deweloper w miejsce wyciętych dębów nasadził nowe, ozdobnej odmiany kolumnowej. Z dziesięciu przeżyły trzy, a i one też słabo sobie radzą.

Katarzyna: Nie powinno się wchodzić tak głęboko w las z takimi budowami, tak myślę sobie. I że miasto powinno się zagęszczać, a nie tak po lesie rozlewać.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść parczku przy Placu Unii Lubelskiej. Krótka historia o oddechu ziemi. Mówią Urszula Katarzyna i Marek.

Katarzyna: Ja tak mówię o tym zagęszczaniu, ale też żal mi tych miejsc w mieście. Na Władysława IV był taki fajny zielony skwerek, potem tam zrobił się dziki parking, ale wcześniej był skwerek i były też ławeczki.

Marek: Plac Unii. Do ulicy 3Maja się tam szło po skosie.

Urszula: Plac Unii Lubelskiej, uważam, że to miejsce jest absolutnie przebetonowane, szczególnie wewnątrz tego placu, choć myślę też, że te budynki, które powstają w tych takich plombach są potrzebne. Gdyby tam wybudowano ładny budynek w zielonym otoczeniu, byłoby super.

Katarzyna: To miejsce wygląda teraz strasznie, mnóstwo betonu, a temperatura to już sama nie wiem o ile się tam podniosła!

Marek: Wcześniej ziemia miała czym oddychać, a teraz co, betonem nie będzie oddychać.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść lasu przy Kieleckiej. Historia przerwanej ciągłości. Mówią Urszula, Katarzyna, Laura, Magdalena.

Katarzyna: Kielecką jak jedziesz, to tam jest teraz taka dziura. Tam, gdzie budują tę nową drogę. No nie wiem, jak to inaczej powiedzieć, dziura po prostu. Dawno tam nie byłam, jak to zobaczyłam, to się rozplakałam.

Laura: Jaki to był las? Zwyczajny, zielony. To było to moje zielone miejsce. Ja się tam bawiłam, w tym lesie.

Urszula: Dla mnie rozdzierające jest to, co się stało z lasem i z tą drogą.

Tam jest teraz taka dziura, tak wyrwa, to jest coś, co mi chyba najbardziej łamie serce w Gdyni, bo wydaje mi się, że to świadczy o tym, że coś zostało źle wymyślone od początku.

Że ktoś zaplanował osiedle nie zastanawiając się na tym, jak do niego dojechać.

Dzisiaj zapłacił za to las i leśne zwierzęta.

Magdalena: Została przerwana ciągłość zieleni przy ulicy Kieleckiej.

Justyna: Taka wyrwa, taka dziura, kawał lasu został wycięty. Ten prześwit dochodzi aż do Chwarznieńskiej.

Katarzyna: To takie strasznie smutne, jak się jedzie tamtędy i się patrzy na te pnie powywracane.

Magdalena: Ja miałam szansę jeszcze się tym nacieszyć, pojeździć tam na rowerze i na rolkach. Tamta budowa długo nie ruszała, bo znaleźli jakieś stare kurhany i też pozostałości po wojnie i tak sobie myślałam, jakich znaków oni jeszcze potrzebują, że ta droga nie powinna tam powstać.

Tam, wzdłuż Kieleckiej rosło mnóstwo jabłonek, niektóre z nich miały przepyszne owoce, w zeszłym roku coś mnie tknęło i zostawiłam sobie pestki z jednego jabłka, dwie były i dwie zasadziłam, wykiełkowały i teraz rosną.

Tak czuję, że przez te drzewka choć troszkę tej bajki zostanie ze mną i dalej w świat ją poniosę.

Justyna: A zwierzęta w tym wszystkim? Znowu zabieramy coś naturze, z drugiej strony człowiek potrzebuje drogi, ale jak zabezpieczymy zwierzęta, ptaki? Czy to będzie jakoś zadbane dla nich, zaopiekowane, żeby nie ginęły, nie wypadały na ulicę?

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść zielonego Chwarzna, którego już nie ma. Dwa smutki. Mówią Justyna i Laura.

Justyna: Ja mam dwa smutki, jeden jest o tej drodze, Kieleckiej, a drugi o zielonym Chwarznie, którego już też nie ma. Kiedy w dziewięćdziesiątym ósmym przeprowadziliśmy się na Chwarzno, to z maluchami, z Kubą, który był jeszcze w wózku jeździliśmy po okolicznych łąkach, lasach. Tam była dzika przyroda, sarenki chodziły sobie. Zabierałam dzieci i szliśmy do takiej pani Sabinki po jajka, przez łąki. Po drodze była wysepka drzew, taki laszek miniaturowy. I robiliśmy tam pikniki na łące, jedzonko, kocyki, do tej pory mam zdjęcie, które szalenie lubię, siedzę sobie w letniej sukience i mam wianek z koniczynek, któreś dziecko mi uplotło.

Było cicho, przyjemnie, autobus raz na dwadzieścia minut przejeżdżał. Wieczorami można było wyjść na dwór przed dom i chłonąć przyrodę, która daje nam tyle spokoju i łagodności.

A potem zaczęli budować, tu ulicę, tam bloki. I robiło się coraz głośniejsze i coraz ciasniej. I te zwierzęta, te sarenki, które wcześniej chodziły sobie swobodnie, już nie miały tej swojej przestrzeni. Byłam świadkiem, jak to się wszystko procesowało i towarzyszyły temu nieprzyjemne uczucia, bo widziałam degradację tego miejsca od strony przyrodniczej.

Laura: Ja mieszkałam na Chwarznie i na Grabówku i teraz znów mieszkam na Chwarznie, ale też chcę podkreślić, że z powrotem wprowadziłam się na Chwarzno w momencie, kiedy ta dzielnica rozbudowała się najbardziej ze wszystkich dzielnic Gdyni.

Na Chwarznie mieszkałam jako dziecko i pamiętam, że ta dzielnica, była wtedy ostatnią, zachodnią dzielnicą Gdyni i domy, które znajdowały się dalej, uchodziły już za wieś, a nie za Gdynię. Te zachodnie dzielnice, które się tam i jeszcze dalej pobudowały, stawały na miejscach lasów, łąk i pól.

Miejsce, w które kiedyś, jako dziecko chodziłam się ze szkołą bawić, to teraz droga pięciopasmowa, wprowadzająca auta na obwodnicę, po prostu asfalt, który jest dziś symbolem rozwoju.

Wzdłuż mojej drogi do szkoły rosły drzewa. Kiedy wracałam ze szkoły, to mijałam kwitnące kasztany i bzy. Ostatnio byłam w tej szkole na wyborach i w ogóle nie miałam takiego uczucia, że te drzewa tam kiedyś rosły, mimo, że je pamiętam. Te drzewa kojarzą mi się powrotem ze szkoły i spędzaniem czasu z babcią.

Już ich nie ma .

Justyna: Czuję smutek, ale też pogodzenie, bo wiem, że nie mam na to wpływu.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść zielonych wzgórz z Leszczynek. Teraz stoją tam bloki. Mówi Marek.

Marek: Moje zielone miejsce to Pekin. Tak się przyczepiła ta nazwa, a przecież Pekin był gdzie indziej. Przy porcie. To miejsce nazywało się Wzgórze Bernorda. I było zielone. Na Pekinie i naokoło.

Jak byłem mały to obserwowałem ptaki, do nas zimą przylatywały gile i ja na nie patrzyłem i je rysowałem. Piękne były, pękate, z czerwonymi brzuskami, jak z pocztówek. Teraz nie widuję już gili.

Wzgórze Bernorda, czyli Pekin jeszcze jest i jest zielone, ale te wzgórza, co naokoło były zielone, zniknęły.

Wyżej Wzgórza Bernorda była Sampówka, tam rosło zboże. Tego już nie ma, na miejscu Sampówki stoją domy.

Przy cmentarzu na Leszczyńkach były wzgórza porośnięte sosenkami, zimą zjeżdżaliśmy z nich na sankach. Tam były takie jasne, prześwieczone słońcem polany. Latem mieszkańcy korzystali, robili sobie pikniki na kocach. Tego już nie ma, teraz stoją tam bloki.

Z drugiej strony patrząc, wyżej ulicy Kalksztajnow też było zielone wzgórze. Tam też się bawiliśmy. To zielone wzgórze nazywało się Kapelusz i tam też teraz stoi osiedle.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść cisów rosnących na skwerku przy Infoboksie. Zawczasu, na wszelki wypadek. Mówi Katarzyna.

Katarzyna: Dla mnie smutne jest to, co się stało na tej działce w centrum, tam, gdzie ta słynna zamiana działek była, przed Infoboksem, którego też już nie ma. Tam na tej działce rosły przecież cisy. Miała tam iść budowa, ale ten, co miał budować dalej odsprzedał, ani jednej łopaty nie wbili, budowy nie ma, ale cisy już zawczasu wycięli, na wszelki wypadek i tych cisów już nie ma. A cis to jest przecież długorosnące drzewo.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść szpaleru topoli na Kordeckiego. To jest o stracie. Mówi Katarzyna.

Katarzyna: Przed moim oknem rósł szpaler topoli. Pamiętam te topole jeszcze z dzieciństwa, bo ja mieszkam w mieszkaniu po moich dziadkach. I pamiętam, że kiedy jako dziecko przychodziłam do mieszkania dziadków z Oksywia, to te topole już wtedy tworzyły za oknem taki piękny, zielony szpaler. I jak się tu wprowadziłam, już jako osoba dorosła, to miałam za oknem te topole. Ludzie na nie narzekali, że alergię, że te puchate topolowe nasiona, te „koty” lecą.

A ja byłam zadowolona, bo to była moja osłona przed światem. Nie potrzebowałam żadnych rolet, żaluzji ani firanek, bo miałam topole, one mnie osłaniały, miałam taką zieloną ścianę, mogłam sobie nawet przejść po domu na golasa i nikt by tego nie zauważył.

Czułam się taka... chroniona przez nie. Aż któregoś lata wyjechałam, wróciłam i tego szpaleru nie było, patrzyłam i nie mogłam uwierzyć, że to się tak nagle stało.

A moje mieszkanie zrobiło się jakieś takie... odsłonięte. I już nie miałam tej ochrony, tej zielonej ściany.

To jest historia o jakimś braku, o stracie, ale też o tym, że dopiero, jak coś tracimy, to dostrzegamy, jaką to miało wartość.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść topoli ze skweru Arki. Historia dźwięków rozpacz. Mówi Urszula.

Urszula: To historia zniknięcia z mojej dzielnicy, sprawa sprzed trzech lat. Chodzi o ten słynny skwer Arki, część tego skweru to polana z drzewami, nie wiem, czy to prawda, ale informacja była taka, że wyciąć kazał konserwator zbytków, ponieważ były to drzewa, których żywotność była obliczona na 30 lat i teraz one zagrażają. Te drzewa nie były ani suche, ani chore, ale i tak je wycięli.

Zawsze jak przychodziłam na ten skwer, to sobie siadałam, fajnie jest usiąść przy drzewie. I nie mówię, że nie ma tu drzew, bo są, ale to wycięcie było dla mnie niezrozumiałe.

Do teraz, jak tu przychodzę, to jest mi smutno.

Ja te drzewa widziałam, kiedy je wycięli, to był rozdzierający widok, drzewa leżały, a wokół biegały chmary ptaków, które wydawały z siebie taki dźwięk... jakby ...rozpaczy? Może ja nadinterpretuję, ale słysząc to, miałam uczucie gęsiej skórki, one nie rozumiały, co się wydarzyło, a przecież one tam mieszkaly, miały całe swoje życie.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść srebrnego świerka z ulicy Biskupa Dominika na Wzgórzu św. Maksymiliana. Historia przegranej walki. Mówi Jadwiga.

Jadwiga: U nas, na Dominika, pod blokiem było takie smukłe iglaste drzewo obrosnięte winobluszczem. Ptaki tam się sfruwały i chowały w gęstwinie. Mnie one nie przeszkadzały, ale sąsiadom już tak, mówili, że te ptaki są gorsze, niż budzik. Walczyliśmy z sąsiadami parę lat. O tę zieleń i o te ptaki. Aż w końcu przegraliśmy, dostali zgodę, któregoś dnia przyjechali i wycięli. No i nie ma tego drzewa. I jest cisza.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść topoli z przystanku koło kościoła świętego Józefa. Krótka historia o braku cienia. Mówi Katarzyna.

Katarzyna: To będzie opowieść o topoli i o braku cienia. Ta topola rosła jeszcze w czasach, kiedy sto dziewięć zatrzymywał się na przystanku pod kościołem świętego Józefa, a nie, jak teraz, przy Estakadzie. Tam rosła taka wielka topola, która dawała cień na ten właśnie przystanek. Bo poza tym, to tam jest betonoza, żadnych drzew, tylko kwietniki betonowe takie i ten plac przed kościołem, też cały betonowy. A ta topola tam była mega chroniąca przed upałem.

I któregoś dnia ją wycięli i już jej nie ma i nie ma też cienia i jest sam beton. I strasznie się tam nagrzewa teraz.

Uważam, że ludzie w Gdyni powinni mieć więcej cienia na przystankach, żeby sobie w tym cieniu mogli poczekać na autobus i że przy przystankach powinny być sadzone drzewa. To jest taki mój postulat dla Gdyni.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść drzew ze Świętojańskiej. Niby są, a nie ma. Mówią Marek, Katarzyna i Elżbieta.

Marek: A pamiętacie drzewa na Świętojańskiej? Piękne takie rozłożyste były, zostały wycięte podczas remontu ulicy.

Katarzyna: One tam dawały cień.

Elżbieta: A przed wojną to to takie patyczki same chude były, takie nic, zdjęcia widziałam.

Marek: Piękne, wielkie, rozłożyste, żal, żal i smutek, bo teraz są tam jakieś drzewa, ale takie, że niby są, a nie ma. Takie jakieś mikre.

Katarzyna: I ta ulica bez tych drzew jakaś taka smutna, łysa.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść robinii akacjowych rosnących przy Biedronce na ulicy Morskiej. Przerwana historia. Mówi Katarzyna.

Katarzyna: A mi żal robinii, które rosły przy Biedronce na Morskiej. Mam sentyment do robinii chyba dlatego, że tak ładnie pachną i w ogóle są takimi, bym powiedziała, eleganckimi drzewami. Coś w nich jest takiego delikatnego. I też wydaje mi się, że to były jedyne drzewa, od Gdyni Głównej do Estakady, które rosły pośrodku drogi, pomiędzy pasami ruchu biegnącymi w przeciwną stronę. Dla mnie to był element tej ulicy, który się wpisał w krajobraz. I mam też wrażenie, że te robinie to kontynuacja nasadzeń z ulicy Grabowo, że to było jakieś wspólne założenie, że te drzewa miały wspólną historię i ta historia została przerwana.

Szkoda mi tego i szkoda mi, że sadi się tak mało drzew przy drogach teraz.

Tam, przy tej Morskiej często stoi się w korkach, stoi się w pełnym słońcu, a można by było stać w cieniu. To jest duża różnica.

I jak były te budżety obywatelskie, to ja głosowałam, żeby tam nasadzić drzewa, uważam, że ulica Morska potrzebuje drzew. Bo jest ich za mało.

Za każdym razem, jak jadę tą drogą, to myślę o nich, o tych robiniałach. I mi żal.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść drzew i ogródków z Witomina. Historia zapomnianego pomysłu miasta ogrodu. Mówią Anna i Magdalena.

Magdalena: Ja chciałam opowiedzieć o Witominie czasów przedwojennych, tam, gdzie teraz jest to duże skrzyżowanie przy Witawie, był folwark. Proszę sobie wyobrazić, folwark otoczony lasem, taka wyspa wśród zieleni. Pomysł na to miejsce był taki, żeby budowały się tam same domki jednorodzinne, tak, by powstało miasto–ogród. Niestety, wybuchła wojna i pomysł został zapomniany. Tam, gdzie był ten największy budynek, Witawa, jeszcze długo po wojnie była studnia i tam ludzie chodzili po wodę. Dowiedziałam się, że zanim powstały te zielone bloki i budynki Hossy, ludzie tam na dziko sadzili drzewa owocowe, uprawiali taką jakby zieloną partyzantkę i jeszcze są pozostałości po tym. Rosną tam śliwy, wiśnie, jabłonie.

Myślę, że wtedy ludzie bardziej czuli, że to miejsce jest ich i że nie muszą posiadać ziemi na własność, żeby coś uprawiać.

Anna: Pamiętam Witomino jako miejsce spotkania kultur, kultury miejskiej i kultury rolniczej. Można było spotkać dzieci zbieraczy– łowców i można było spotkać działkowicza. Ludzie korzystali ze środowiska na stare sposoby. W mieście można było narwać malin i zrobić przetwory na zimę, albo można się też było objeść agrestu, jagód, albo mirabelek, bo były działki, pola i lasy i to wszystko na wyciągnięcie ręki.

Historia Witomina to dla mnie nie tylko nostalgia, ale i opowieść o dawnych sposobach współistnienia ze środowiskiem, relacji zakładającej współistnienie, a nie zawłaszczanie.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść piaszczystego wzgórza zlikwidowanego pod budowę Witawy. Mówi Anna.

Anna: Jako dziecko doświadczałam zabaw na górze, która została całkowicie zlikwidowana pod budowę Witawy.

Jeszcze kiedy ta góra istniała, kiedy jeszcze rządziła Cegielska, istniała też policja konna i ta policja patrolowała okolicę Gdyni. W większości miejsc konie nie mogły się za bardzo rozpędzać, mogły tylko człapać, bo, wiadomo przecież, że koń nie będzie galopował przez miasto.

Ale tam właśnie policjanci przyjeżdżali galopować, więc to też coś mówi, pokazuje skalę,

że to było na tyle duże wzgórze, że konie mogły się rozpędzić i jeszcze przez kilkaset metrów biec swobodnie. Pamiętam, że siedziałam na balkonie i zachwycałam się tym obrazem, widziałam te konie w pełnym galopie, absolutnie szczęśliwe, że w końcu pozwolono im się rozpędzić i dotknąć ziemi, a nie betonu.

Któregoś razu po prostu zaczęły tam zjeżdżać ciężarówki i inne potężne maszyny i wszyscy się dziwili, co się dzieje.

Myśleliśmy, że może chodzi o usunięcie roślinności, czy też jakieś niewielkie wyrównanie.

I obserwowaliśmy, jak wybierają tę górę, wybierają, wybierają, do zera, a potem jeszcze głębiej.

Myśleliśmy, że może będą coś budować, ale w skali adekwatnej do bloków, które stoją w okolicy.

Przeżyliśmy szok, jak już zbudowali Witawę, to był szok estetyczny, ingerencja w tkankę osiedla, która nagle straciła swój charakter.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść dziuplastej topoli z ulicy Piłsudskiego. O warstwie życia poza nami. Mówi Urszula.

Urszula: A ja nie mogę przeboleć tego, że się wycina dziuplaste drzewa. Że dziupla, dziura oznacza chore drzewo, a tymczasem to nie jest chore drzewo, to jest dom dla ptaków.

Jak się wycina takie drzewo, to ptaki, które zapraszamy do Gdyni, jest taki projekt Urzędu Miasta, „Zapraszamy ptaki do Gdyni”, to, przecież, jak się wytnie drzewo, to one, te ptaki nie mają gdzie mieszkać.

Ja obserwuję ptaki na moim podwórku, one mają na drzewach swoje miejsca, swoje gałęzie, one wiedzą, gdzie który mieszka, one się kłócą albo budują jakieś relacje, sojusze, jak przyleci sroka, to one razem ją straszą, tam jest życie.

Ktoś, kto wycina takie drzewo nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ciągle to widzę, takie niemyślenie o tym, że jest tu jakaś warstwa życia poza nami.

A te ptaki muszą potem szukać schronienia w miejscach, które są sztucznie tworzone, w budkach, które się grzeją. A dla ptaków nie ma lepszego miejsca do życia niż dziupla, dziupla ma najlepszą temperaturę, chroni młode ptaki przed przegrzaniem.

Żadna budka, żaden domek dla ptaków nie zastąpi dziupli.

Dlatego tak żal mi tej topoli.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść topoli z ulicy Kopernika. Mała historia zniknięcia wróblích miejsc. Mówi Agnieszka.

Agnieszka: Tam, gdzie teraz Biedronka na Kopernika, wysokie topole były, tam straszny teraz krajobraz bez tych drzew. Jak już wycięli, jak mieli zaczynać budowę, to założyli siatkę

i te biedne wróbelki tak przylatywały do tej siatki, przylatywały i odlatywały, tak, jakby nie miały gdzie być, jakby wołały o pomoc. Pewnie w końcu znalazły sobie jakieś miejsce, ale patrzenie, jak nie mają się gdzie podziać, było bolesne. I przykro patrzeć, jak tam teraz jest. Żadnych drzew, nawet tych patyczkowatych, najmniejszych. Nic tam nie ma, po prostu nic. Tylko beton.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść lipy z Oksywia. Historia zniknięcia kawczych miejsc. Mówi Barbara.

Barbara: A ja mam historię drzew na Śmidowicza, na Oksywiu, to jest ta ulica, którą jedzie się do portu. Te drzewa były sadzone jeszcze przed wojną, nawet są takie archiwalne zdjęcia, jak te małe lipki rosną.

Ten szpaler jest już dziś mocno przerzedzony, schorowany. Nie wiem, czy uda się tym, co tną wytłumaczyć, że jak się tnie gałęzie, to trzeba je zabezpieczać, bo grzyby wchodzą.

I była jedna taka lipa, widziałam ją z balkonu, rozłożysta, ale mocno już schorowana, bo silnie cięta przez te wszystkie lata i niezabezpieczana, i grzyb ją jadł i jemioła i w tym roku ją zaznaczyli do wycinki. I tak z sąsiadami się przyglądaliśmy, czekaliśmy, kiedy zniknie i dziś zniknęła. Ale historia jest o ptakach, ja z trzeciego piętra obserwowałam, co się dzieje na górze tego drzewa, tam życie było, tam kawki miały swoją miejscówkę, bo gniazdo na budynku, ale tam odpoczywały i tam też sobie kłótnie i dyskusje robiły i my jak w obraz patrzyłyśmy na te kawki.

No i teraz nie chodzi mi o to drzewo, bo ono już umierało, umierało ze złego traktowania, ale o te kawki się martwimy, jak one sobie poradzą.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść nadmorskich wierzb płaczących. Dwie krótkie historie. Mówią Urszula i Marek.

Marek: A na Skwerze Kościuszki wycięli tę wierzbę kultową w tym najbardziej znanym pocztówkowym miejscu, tym przy fontannie. A taka piękna była, pochylona, dawała tam cień, a ptaków tam było zawsze! I ostatnio idę i patrzę nie ma wierzby, pień tylko leży pocięty.

Nie wiem dlaczego, nie była spróchniała, nie wiem, nie znam się, ale te kłocce, co tam leżały, co zostały z tej wierzby wyglądały na zdrowe.

No i tych ptaków też, rzecz jasna, nie ma.

Urszula: Taka druga wierzba była przy wejściu na bulwar, jak się wychodzi z Piłsudskiego, na skraju parkingu.

Przepiękna to była wierzba Została uderzona piorunem i jeden konar się odłamał. Obserwowaliśmy ją z przyjaciółmi przez jakiś czas po tym zdarzeniu, wciąż była zielona, żyła, ale pewnego dnia się okazało, że wycięli i już jej nie ma.

Czułam się oszukana, pisałam protesty.

To moje uczucia, ale być może było tak, że ktoś ocenił, ktoś zbadał, że to drzewo nie nadaje się już do życia. Ale zawsze pojawia się wątpliwość, czy ktoś to w ogóle robi.

Moje zielone miejsce, zniknęło.

Opowieść bezimiennego drzewa z placu zabaw przy ulicy Biskupa Dominika. Historia szybkiego zniknięcia. Mówi Jadwiga.

Jadwiga: Trzy lata temu wygraliśmy na ten plac zabaw projekt z budżetu obywatelskiego. Trzy lata będzie, a może nawet więcej, bo ta dziewczyna, co pisała projekt, była wtedy w ciąży, a teraz to jej synek już na rowerku jeździ. I ona pisała ten projekt po to, żeby blisko jej było chodzić tam z synkiem.

Projekt zwyciężył, ale już trzy lata nic nie dzieje, tyle że wczoraj ścięli to jedno drzewo.

Takie drzewo, na które wspinał się mój mąż, jako dziecko, później mój syn, a jeszcze później mój wnuk. Mąż ruszył, jak tylko usłyszał dźwięk piły, no ale zanim doszedł, już było po wszystkim. Pytał tych, co to cięli, kto im zlecił, ale oni nic nie wiedzieli. Dzwonił do biura ogrodnika miejskiego i do tych urzędników, co odpowiadają za budżet, ale nikt nic nie wie i odsyłają go od jednego do drugiego, a przecież ktoś tę wycinkę zlecił i nie wiadomo dlaczego, bo padł przetarg na resztę działań z tego budżetu. Kogo to drzewo skusiło, nie wiemy.

A to było akurat takie drzewo, co myślałam że zostanie, bo ono na tym placu zabaw było najlepsze z tego wszystkiego.

Pokręcone niskie, tak, że w zasadzie można je było zakwalifikować jako krzew, takie, można powiedzieć pierwsze drzewo do wspinania dla dzieci.

Jak dziecko weszło na pierwszą gałązkę, to mogło tam przycupnąć i siedzieć i to już było osiągnięcie, ale potem mogło wejść na jeszcze następną, i to było kolejne osiągnięcie, a jak już weszło na trzecią, najwyższą, to mogło patrzeć z góry i czuć się jak król.

Nie wiadomo, dlaczego wycięto to drzewo.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść nadmorskiego kasztanowca. Jak cios dla cywilizacji. Mówią Katarzyna i Barbara.

Katarzyna: A przy Klubie Riwiera, przy Muzeum Marynarki Wojennej, tam, gdzie się wchodzi na plażę rósł taki wielki kasztanowiec i go wycięli. To była dla mnie ostatnio największa strata. Wielki był, piękny i zdrowy. Wycięli go wtedy, kiedy do Muzeum Marynarki Wojennej transportowali łódź podwodną, czyli, że była to jednorazowa akcja.

Tylko po to, żeby przetransportować łódź wycięli drzewo, to był dla mnie ból, ból straszny.

Barbara: To było jak cios dla cywilizacji.

Katarzyna: To było takie ludzkie barbarzyństwo. Emocjonowaliśmy się techniczną stroną tego przedsięwzięcia, bo ona, ta strona techniczna, była rzeczywiście imponująca. A kasztanowiec w cieniu zginął.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść młodego lasu na starej jednostce. Historia o opuszczeniu, nadziei i zniknięciu. Mówi Paula.

Paula: A moja historia jest o lesie. To było moje zielone miejsce, bo ja mieszkam niedaleko, na Dembińskiego i często chodziłam tam na spacer z psem, no i w zasadzie wiedziałam, że to miejsce kiedyś zniknie, że jest przeznaczone pod zabudowę, ale rozum swoje, a serce co innego.

Może też dlatego, że ja obserwowałam cały ten proces zarastania, sprowadziłam się tu, będzie piętnaście lat temu. Jak rozstałam się ze swoim partnerem, to wynajęłam kawalerkę na Dembińskiego.

Ja wtedy jeszcze miałam starego psa, co tylko przy mnie siedział i tak to rozstanie w sobie przeżywałam. Ale z czasem zaczęłam też obserwować, co się wokół mnie dzieje. Na początku patrzyłam w ziemię, bo tam w dziurach w betonie pojawiały się mchy i porosty i to wyglądało jak jakby takie mini skalniaki.

Z czasem zaczęły pojawiać się w betonie jakieś małe kwiatki, potem jeżyny i siewki drzew i było tak, jakby ten las, co jest wokół tak obejmował to miejsce i przywracał mu życie. I ja też, z czasem, jak te siewki zaczęły się robić większe, ja też zaczęłam czuć się dobrze i też jakoś odżyłam i zaczęłam sobie to moje życie odbudowywać. Z czasem umarł stary pies, a ja wzięłam nowego psa i przed pracą i po pracy chodziłam z nim do lasu na spacer.

Piękny był ten młody las, brzozy, buki i modrzewie, już prawie całkiem zarósł opuszczone budynki.

Największe wrażenie robiły na mnie te drzewa, co wyrastały na dachach i modrzewie, bo to był jakiś drzewny superekspres, tak szybko rosły. I jakoś tak było, że pod koniec zimy, pod koniec lutego wyjechałam, a na psa załatwiłam sobie zastępstwo, trochę ponad tydzień to trwało. Jak już mogłam do lasu, to poszłam i mnie zatkało, bo nie było już lasu, cały las w pęczkach leżał, nie było już moich modrzewi, stałam tam i płakałam i nie mogłam uwierzyć.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść lasu, który rósł między Chwarznem, a Chylonią. O zniknięciu leśnej ciszy. Mówi Laura.

Laura: Las, o którym ja chcę powiedzieć, znam z dwóch stron.

Już jako osoba dorosła, zamieszkałam na Grabówku, a teraz znów mieszkam na Chwarznie i po dwóch stronach miałam i mam do tego lasu dostęp i widzę, jak wycinka drzew postępuje.

Mam psy, więc z nimi chodzę i codziennie widzę otwarty szlaban do lasu, więc to znaczy, że tam codziennie są przeprowadzane jakieś prace.

Droga w lesie też się zmieniła, została utwardzona. Nasypano kruszywo, żeby się łatwiej jeździło. Tymczasem ja pamiętam ten las i tę drogę jako dzikość. Tam wiosną było tak, że, kiedy wiosną wszystko zaczynało kwitnąć i rosnąć, to czasami ciężko było niektórymi ścieżkami przejść, bo tak rosło.

Teraz na tej drodze to nawet dwa auta mogą się swobodnie minąć i już sama szerokość drogi świadczy o tym, ile jest prac w lesie. Chociaż to i tak widać na każdym kroku, wszystkie te pnie poćcinane, ułożone jeden na drugim i już gotowe do wywozu.

Teraz jak teraz idę lasem, to cały czas słyszę albo szum z drogi, albo piłę mechaniczną, która tnę drzewo. Bardzo rzadko słyszę taką typową, leśną ciszę, jak kiedyś, kiedy chodziłam do babci z Chwarzna na Chylonię.

Do lasu chodziłam też z babcią na grzyby, były tam mnóstwo grzybów i też bardzo dużo poziomek.

Teraz poziomek nie ma i grzybów też już prawie nie ma. Można czasami znaleźć podgrzybki, zdarzy się czasem prawdziwek, ale znakiem, że ten las stał się lasem miasta jest to, że nie rosną już w nim rydze, bo rydze uchodzą na takie grzyby, które rosną w czystych miejscach, w czystym lesie.

Rosło tam też bardzo dużo konwalii. Teraz już ich nie ma. To znaczy są, ale bardzo mało, a sam las robi się tak mały, że nie przypomina już tego miejsca, którym był kiedyś.

Nie dość, że część lasów, tych obszarów zielonych znika, to, co pozostaje zmienia swój charakter.

I jeszcze to: w lesie obecnie nie ma krzewów. Że drzewa są wycinane, to każdy wie, że to niedobrze, bo w drzewach mieszkają ptaszki, ale wycinane są też krzewy, a tam mieszkają różne zwierzęta. I raczej nikt o tym nie myśli.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść kałuż z grabówkowego lasu. Historia zniknięcia żab. Mówi Katarzyna.

Katarzyna: Moja historia jest z lasu, z Grabówka. Z górnej drogi, tej co się idzie grzbietem wzgórz. Z tej, co się od nas, z Grabówka, idzie do wiaty, a później można iść w stronę Estakady, albo na Witomino.

Ja tam kiedyś dużo chodziłam, jak jeszcze syn był młodszy, bo razem z synem obserwowaliśmy żaby. Syn to nawet fotografował te przemiany, bo, wiadomo, są kijanki, a potem przekształcają się w żaby, to jest cały proces i te zdjęcia pokazywał w szkole.

Sama, to znaczy z psem, też chodziłam. Ten las nie zniknął, las jest, ale z roku na rok coraz go mniej. Kiedyś dużo tamtędy chodziłam, a teraz wolę dołem, teraz już górą właściwie nie

chodzę, bo żal patrzeć. Tam jest spustoszenie. Co któreś drzewo tylko jeszcze stoi, resztę wycięli. Moja historia jest historią wody, która zniknęła i historią żab.

Tam na górze, w lesie, były takie doły w ziemi, one zawsze były wypełnione wodą. To znaczy przy tej wiacie było takie zagłębienie, większa kałuża, a dalej, idąc w stronę Estakady, były takie spore doły, nie wiem, kto je zrobił, może leśnicy, w każdym razie tam zawsze stała woda. I jeszcze dalej, tam, gdzie jest pomnik pomordowanych strażników leśnych, tam, po lewej stronie drogi też było jedno takie bagniste miejsce.

Tam, w tych dołach i w tej kałuży żaby składały skrzek, zdarzały się takie lata, że aż kipiało, aż było czarno od skrzeku. A odkąd zaczęli ciąć, las zaczął wysychać. W dołach i w tej dużej kałuży z roku na rok było coraz mniej wody i coraz mniej skrzeku.

I to się działo w miarę, jak las wycinali.

Najpierw zniknął skrzek w kałuży, a na koniec w dole przy krzyżówce, tam, gdzie się idzie na Witomino.

Nie wiem, co ja mam z tymi żabami. Chyba lubię patrzeć, jak się rozwijają.

To znaczy lubiałam, bo w tym roku już nie ma wody, a co za tym idzie, nie ma też skrzeku, ani żab.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść stawów i wierzb z ulicy Stawnej na Witominie. Historia o znikaniu wody. Mówią Anna i Elżbieta.

Anna: Ja mieszkałam na Witominie przy ulicy Stawnej, nazwa pochodziła od stawów.

Stawki były dwa, a w okolicy był jeszcze trzeci. Nad stawkami rosły piękne, stare wierzby płaczące.

Pamiętam, że te wierzby były tak łagodnie ukształtowane, że można było po nich chodzić. Z koleżankami biegałyśmy po nich i odgrywałyśmy opery mydlane. Każda gałąź była osobnym pomieszczeniem, pokojem, przedpokojem, albo kuchnią i polem działania dla wyobraźni.

Pamiętam, że kora tych drzew była wygładzona, nie zdarta, wygładzona właśnie, od setek par dziecięcych butów.

Jeden staw zasypiano, nie wiem dlaczego, a obok utworzono sztuczny zbiornik retencyjny, a przecież ten stawek mógł pełnić funkcję naturalnego zbiornika.

Drugi stawek z czasem zaczął poupadać, chyba coś tam zaczęto robić ze ściekami.

Teraz stawek służy jako awaryjne zabezpieczenie do spuszczenia wody z basenu szkolnego. Czyli, że ktoś zamienił naturalny zbiornik w zbiornik na chlorowaną wodę.

Stawek w szczątkowej formie pozostał, ale drzewa ścięto, uznano je za zbyt spróchniałe.

Moi rodzice byli zbulwersowani, bo nie wyglądały na takie, no, ale i tak je ścięto. W ten sposób zniknęła bioróżnorodność i cała krajobrazowa wartość tego miejsca.

Elżbieta: Mi to w ogóle brakuje wody w krajobrazie. Kiedyś to było tych oczek, tych jezior, tych strumyków. A teraz coraz więcej osuszają i samo też wysycha.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść rzeczki Chylonki. Wspomnienia zostały ulotne. Mówi Gabriela.

Gabriela: Ja jestem z Chyloni i wspominam Chylonkę z tej części ulicy świętego Mikołaja za torami, bo ta ulica składa się z trzech części, za torami, tam gdzie ulica Hutnicza, gdzie bank, tam ta Chylonka płynęła przepięknie i była czysta tak, że było widać małe rybki które pływały w wodzie, była tam trawa, kaczeńce, jako dzieci tam się bawiliśmy.

Dziś po tamtej rzece nic nie zostało, bo nie dość, że zmienili koryto, to jeszcze ją uregulowali, na dole są teraz takie płyty jumbo i brzeg też jest obetonowany na prawie dwa metry. No i przeżyliśmy w 2009 roku koszmarną powódź na tej ulicy, ponieważ zrobili na rzece taką jakby tamę, i tam gdzie ta tama, to byle kubeczek po jogurcie zatyka spływ wody, a po tej ulewie, co wtedy była, naniosło gałęzi i ta tama całkiem się przytkała.

No i w ten sposób nam Chylonka zniknęła z naszej ulicy, zniknęła zieleń i w zasadzie nic nie ma tam teraz. Sama betonoza. I bank. Rzeczka straciła swój urok. Wspomnienia po mojej Chylonce zostały ulotne.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść lasu na Dąbrowie. Historia zniknięcia grzybnego miejsca. Mówi Ida.

Ida: Ja teraz mieszkam na Dąbrowie, a tam wybudowano niedawno cały wielki węzeł komunikacyjny, czyli połączenie drogi S z obwodnicą Trójmiasta, ale tak w ogóle to pochodzę z Wielkopolski.

Z rodzicami mieszkaliśmy blisko Piły, tam jest dużo lasów i często chodziliśmy na grzyby i ja od dziecka te grzyby zbierałam. Nie to, że jestem jakąś super grzybiarą, ale mam jakiś taki instynkt do grzybów. I jak jestem w lesie, to się dobrze czuję. I tak sobie uświadomiłam, że jak niektórzy są jeziorni, inni są morscy, jeszcze inni górscy, to ja jestem leśna. Ja po prostu odpoczywam w lesie. No i często sobie spacerowałam po tym lesie, wtedy jeszcze między starą drogą do Chwaszczyna na Osowę.

No ale tego lasu już nie ma, jest po prostu droga i to jest dla mnie strasznie smutne. Bo tam, gdzie mieszkalam wcześniej, miałam swoje grzybowe miejsca.

Tutaj musiałam się odnaleźć i przez lata szukałam sobie grzybnych miejsc i nie miałam nikogo, kto by mi je pokazał. I jeździłam w różne miejsca dookoła Trójmiasta szukając.

Coś znalazłam, ale to nigdy nie było takie, jak tam, skąd pochodzę.

Więc kiedy pięćset metrów od swojego domu znalazłam las, który obradzał i przyjmował mnie z tymi wszystkimi grzybami, to się tak bardzo dobrze poczułam wtedy.

Poczułam, że może to jest takie miejsce, gdzie można zamieszkać, jak ma się już swoje miejsce na grzyby, coś jak ulubiony warzywniak.

No i teraz tego lasu nie ma.

To znaczy częściowo jest, ale tego miejsca, gdzie były grzyby, już nie ma. W skali całego lasu to może nie jest dużo, ale to właśnie był ten kawałek, który mi tak narobił nadziei.

I nawet nie miałam świadomości, jak bardzo jest ważny, dopóki był. Dopiero jak zniknął poczułam, że coś straciłam.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Opowieść dzikiej czereśni z Małego Kacka. O smaku, którego już nie ma. Mówi Katarzyna.

Katarzyna: Ja też jestem nowa w Gdyni. Na początku, jak się sprowadziłam, to mieszkalam na obrzeżach, na Wielkim Kacku. Dzieci były wtedy jeszcze małe. Chodziłam z nimi na ulicę Strzelców.

Tam teraz zbudowano wielkie osiedle, ale wcześniej były piękne pola i rosło zboże i maki w tym zbożu i maki na łąkach. I rosły tam też łopiany, one tak pięknie kwitły i tak pięknie pachniały.

Rzadko się spotyka łopiany w mieście. Te łopiany na mnie robiły wrażenie olbrzymie, piękne były, pokazywałam je dzieciom, a dalej, między ulicą a polem rosła dzika czereśnia. Nie wiem, czy wiecie, co to ptasia czereśnia, to jest właśnie taka czereśnia dzika.

Ta czereśnia była stara, rozłożysta, jej gałęzie chyliły się do ziemi, chodziłam tam z moimi małymi chłopcami rwać te czereśnie.

Chciałam, żeby oni zaznali tego smaku, żeby mieli to wspomnienie, bo już teraz tego smaku nigdzie nie ma. I do tej pory pamiętają, jak chodzili z mamą i mama im naginała te czereśnie i że te czereśnie były takie słodkie, że aż cierpkie.

I potem patrzyliśmy, jak ją wycinają, i taki żal, taki żal tej czereśni.

Tego mi szkoda i tym chciałam się podzielić.

Moje zielone miejsce zniknęło.

Historia lasu na Oksywiu między Bosmańską, a Śmidowicza wciąż trwa, ale nie wiadomo, jak długo jeszcze. Mówi Barbara.

Barbara: Ten las jest tam, gdzie się zjeżdża z Unruga i jedzie Bosmańską w stronę Dickmana w stronę Starej Wsi Oksywskiej, tam, gdzie jest trakt leśny, tam gdzie ta instalacja artystyczna–lampy– huby. Ten trakt to jest fragmencik tego lasu, który został posadzony w ramach czynu społecznego przez dzieciaki w latach pięćdziesiątych. To sadzenie było wtedy intuicyjne, więc nie jest on jakiś przepiękny, ale jest to prawdziwy las, siedemdziesięcioletni.

Został on posadzony na terenach żwirowych, o czym się dowiedzieliśmy niedawno, bo założyliśmy społeczny komitet obrony lasu i badamy jego historię.

Tam, gdzie jest południowa ściana lasu wydobywano żwir i ciągnięto wagonikami do budowy portu. Dlatego są tam takie góry i dolinki, które teraz zarósł las, tak, myślę, wygląda sukcesja na terenach poprzemysłowych.

Z kolei na fragmencie, w okolicach Przystani na Śmidowicza za tymże lasem były niezarośnięte pola, jakby łączka. Po wojnie wojsko oddało je mieszkańcom w dzierżawę na ogródki, więc od lat pięćdziesiątych sąsiedzi ze Śmidowicza chodzili tam sobie i te ogródki uprawiali.

Mieli tam urządzone, stawy, domki i nawet mikrobaseny takie dla dwóch osób. Trwała ta sielanka aż przyszły lata dziewięćdziesiąte i prosperity i wojsko stwierdziło, że będzie budować.

Przyjechały spychacze i wszystko to, co ludzie tam mieli, zepchnęły w jeden wieczór.

Ostatnio robiliśmy dzień ziemi, i sprzątaaliśmy śmieci, ale sąsiedzi nie chcą się angażować, nie chcą wrócić na te góry, bo za bardzo boli ich serce, jest w nich taka gigantyczna zadra. Na górkach zostały rośliny, jabłonie, śliwy, jeżyny, na wiosnę, jak to kwitnie, to widać, że to miejsce było zagospodarowane. Niedawno zaczęłam po tych górkach chodzić, jest to miejsce botanicznie fenomenalne. Przepięknie to wszystko zarasta.

Ale już mamy sto drzew zaznaczonych do wycinki z tej enklawy i Agencja Mienia Wojskowego próbuje tam dopiąć plan budowy trzech budynków, ale wierzę w to, że zablokujemy ten projekt. Mamy już cztery tysiące podpisów, pomaga nam Rada Dzielnicy.

Moje zielone miejsce, jeszcze jest, ale jak długo jeszcze?

Opowieść Chyłońskich Łąk. Zapowiedź końca. Mówią Elżbieta Katarzyna i Salcia.

Elżbieta: A mi żal Łąk Chyłońskich, które jeszcze są, ale za chwilę ich już nie będzie. Łąki Chyłońskie, tam się jedzie do ronda na ulicy Unruga na Obłuzu i dalej, aż do końca ulicy Złotej. Ja słyszałam, że tam ma być inwestycja porównywalna do tej z lat dwudziestych, kiedy budowali Gdynię, tam ma być całe wielkie centrum logistyczne.

Administracyjnie ten teren, co prawda nie należy do Gdyni, tylko część do Kosakowa, a część do Rumii, ale uczuciowo, uczuciowo to już całkiem inna sprawa.

Tam ma być taki skok cywilizacyjny, jak wtedy, w latach dwudziestych, kiedy nikt nie wierzył, że ta cała Gdynia będzie na tym torfie.

Salomea: Jak tam byłam ostatnio, to widziałam, zaczęli już robić wykopy i takie wielkie rury tam leżą.

Katarzyna: Uwielbiam to miejsce, chodzę tam z psem, tam jest tak pięknie.

Salcia: Za chwilę już tego miejsca nie będzie, a przecież to jedno z ostatnich takich łąk zmiennowilgotnych, to znaczy okresowo zalewanych wodą. Tam siedliska, ptaków, saren, zajęcy. Ja tam pierwszy raz w życiu widziałam zimorodka. Tam, podobno, tak piszą, zachował się system melioracyjny sprzed setek lat.

To miejsce zapadło mi w serce, odkąd je zobaczyłam po raz pierwszy, przypomina mi nadzeczne łąki z dzieciństwa, chodziłam tam najpierw z jednym psem, potem z następnym.

Wczesną wiosną słyszeć żurawie, w maju śpiewa skowronek, to wszystko jeszcze tam jest, ale już za chwilę nie będzie.

Czuję złość, rozpacz i niezgodę.

Moje zielone miejsce, jeszcze jest, ale już za chwilę go nie będzie.

Moje zielone miejsce, za chwilę zniknie.

Moje zielone miejsce.